
DOROTA NIEDŹWIECKA

Z ARMIĄ ANDERSA – POD BAOBABY. DZIECI Z CZARNEGO ŁĄDU

W pustyni i w puszczy była jedyną książką, jaką przeczytałam na zeszytce w Kazachstanie, gdzie zostałam wywieziona wraz z mamą i młodszym o rok bratem, 13 kwietnia 1940 r. – wspomina pani Maria, urodzona w Grodnie w rodzinie wojskowej. – Gdy żyliśmy na granicy ubóstwa, niekiedy żebrząc o jedzenie, nie przypuszczałam, że wkrótce trafię do buszu, w którym przeżyję cztery i pół roku.

Około 70 tys. żołnierzy i ponad 30 tys. cywilów uwolnionych z zesłańczych osad, łagrów i więzień na terenach Związku Radzieckiego – to w praktyce oznaczał układ Sikorski-Majski (1941 r.). Dla nastolatek: Danusi Kość i Marysi Gill (po mężu: Dutkiewicz) zaczynał się w życiu nowy okres. Przed nimi: Czarny Łąd.

Z mroźów pod równik

Polska Armia pod dowództwem gen. Władysława Andersa gromadziła się w Buzułuku, a także kilku miejscowościach na południu Związku Radzieckiego. Potem kierowano ją przez Persję (dziś: Iran) i Irak do Palestyny. Cywile natomiast poprzez Elbrus, góry w południowym Iranie dostawali się do trzech obozów pod Teheranem na tymczasowy pobyt skąd następnie udawali się w dalszą drogę.

Na prośbę polskiego rządu w Londynie o pomoc cywilom, odpowiedziało kilka państw, dzięki czemu Polacy trafiali do Australii i Nowej Zelandii, Indii, Meksyku, a najwięcej (18 tys. osób) do brytyjskich kolonii w południowej, środkowej i północnej Afryce.

– Pierwsze spotkanie z Afryką? – pani Maria uśmiecha się. – Miałam wówczas 13 lat. Mnie i bratu wszystko się podobało: i sawanna, którą znałam już z lekcji geografii, i pędzące po niej antylopy, żyrafy oraz bawoły. Nocą, gdy po raz pierwszy zobaczyłam usłane gwiazdami afrykańskie niebo byłam zachwycona. Niepokoiły mnie tylko ryki dzikich zwierząt, dochodzące z dżungli i krokodyle, które zobaczyliśmy po raz pierwszy, płynąc po Nilu do naszego nowego miejsca zamieszkania w Ugandzie.

– W Afryce, poczułam się bezpieczna – wspomina Danuta Kość, córka górnika z Kałusza (okolice Stanisławowa), wywieziona w lasy archangielskie wraz z rodzicami i starszym bratem 10 lutego 1940 r. – Kilka miesięcy wcześniej, w ciągu jednego tygodnia straciłam oboje rodziców i brata – a tu po raz pierwszy, po okresie spędzonym w sierocińcu – znalazłam się z osobami, które znałam jeszcze z Polski. Kiedy pani Danuta przybyła do Ugandy miała 12 lat.

Pod dachem z trawy słoniowej

– Gdy nasz transport przybył na miejsce (było to w połowie 1943 r., już po śmierci gen. Sikorskiego), wioski dla nas, tworzące rozległy obóz w dżungli, były już przygotowane – wspomina Maria Dutkiewicz. – Szeregi trzyizbowych domków z podcieniami, z gałęzi pooblepianych gliną i pokrytych dachem z trawy słoniowej. A w nich: łóżka z moskitierami, taborety, stół, wiadro, miska i naczynia kuchenne. Za każdym domem znajdowała się kuchnia i latryna.

– Czułam radość: wszystko było czyste i świeże. Po tygodniach koczenia pod gołym niebem, w jednym ubraniu w Guzarze koło Buchary – zanim udało się nam opuścić wraz z wojskiem Związek Radziecki – to był dla mnie prawdziwy luksus – dodaje.

Każdą izbę zajmowała jedna rodzina. Tzn. kobiety z dziećmi, rzadko – niepełnosprawni mężczyźni i chłopcy do lat 16 (którzy później trafiali do wojska). W osiedlu znajdował się również sierociniec dla dzieci, które utraciły swoich najbliższych.

Polacy każdej wiosce nadali inną nazwę, a cały obóz – od nazwy pobliskiego miasteczka – zwano Masindi. Mieszkało w nim ok. 5 tys. osób.

Dzieciństwo w Masindi

Obozem zawiadywał początkowo komendant inż. Skolimowski, później – inż. Hawling. Wokół osiedla biegła ulica Rób co chcesz, rodzaj deptaka, na który wychodziło się na spacer, spotykało ze znajomymi. Natomiast na najwyższej położonej ul. Pańskiej mieszkali przedstawiciele administracji, księża, niektórzy nauczyciele. – W obozie funkcjonowały przedszkola, trzy szkoły powszechne, gimnazjum ogólnokształcące i liceum humanistyczne, a także szkoły zawodowe dla chłopców i dziewcząt, szpital (w którym najwięcej było chorych na malarię), pracownie rzemieślnicze, sklepik osiedlowy i magazyn. W trakcie pobytu ludność – z inicjatywy proboszcza ks. Franciszka Winczowskiego – w ciągu dwóch lat (1943-1945 r.) zbudowała kościół: przestronny, murowany, z półokrągłymi oknami i z wieżą. Służy on do dziś miejscowej ludności. Wokół kościoła znajdował się cmentarz, na którym pochowano ponad 100 osób.

– Codziennie rano pobieraliśmy z magazynu porcje żywności – wspomina pani Dutkiewicz. – Zapewniano nam też odzież. Raz na miesiąc otrzymywaliśmy 10 szylingów kieszonkowego na osobę, które ja z bratem najczęściej wydawałam w sklepie hinduskim w miejscowości, oddalonej kilka kilometrów od naszego osiedla. Zazwyczaj na słodycze.

– Wokół domków zakładaliśmy ogródki, w których kwitły kwiaty i uprawialiśmy m.in. orzeszki ziemne, kukurydzę, banany i papaję – dodaje pani Kość. – Hodowaliśmy też kury. Wodę nosiliśmy w wiadrach – z zamontowanych na początku każdej ulicy kranów. Chodziłam też do buszu, korować siewierę drzewo na opał.

Mickiewicz w buszu

– W Afryce poszłam do czwartej klasy szkoły powszechnej – mówi pani Danusia. – Po trzech latach przerwy. Syberia nauczyła mnie, jak przeżyć, ale zatrzymała w zdobywaniu wiedzy. W Ugandzie mogłam podjąć naukę na nowo, o czym marzyłam.

– Szkoła, harcerstwo – gdzie zdobywaliśmy także sprawności poruszania się po buszu, zespół taneczny, który wieczorami organizował prezentacje dla mieszkańców – wymienia pani Maria. – Zająć miałam w Afryce pod dostatkiem.

Pani Danusia chętnie wspomina liczne uroczystości państwowe i patriotyczne. To, jak harcerze w mundurach (szytych na miejscu) podczas Mszy św. polowych stali na baczność, niczym żołnierze. Jak dziewczęta w kolorowych, tiulowych sukniach (z materiału, z którego robiono moskitiery) tańczyły poloneza, a grupa teatralna recytowała „Dziady” Mickiewicza – stojąc w księżycowej poświacie, wśród inscenizacji cmentarzyska. Polacy świętowali także rocznice śmierci gen. Sikorskiego, dzięki któremu opuścili Nieludzką Ziemię.

Kąpiel z krokodylami

– Murzyni byli wpuszczani do wioski tylko w ubraniach (na które składały się główne podarte spodnie) – wspomina pani Danuta. – Kiedyś samotnie wybrałam się do dżungli. Zobaczyłam z daleka murzyńską wioskę i mieszkańców, osłoniętych jedynie opaskami z roślin. „To dzicy” – pomyślałam i przestraszona, uciekałam.

– Pamiętam też szkolną wycieczkę nad jezioro Alberta – dodaje. – Ponieważ umiałam dobrze pływać, niewiele myśląc wskoczyłam do wody. To była chyba największa głupota, jaką zrobiłam. Później, już po kąpeli, zobaczyliśmy w jeziorze hipopotamy i krokodyle. Dowiedzieliśmy się też, że w niektórych jeziorach Afryki żyją bakterie bardzo groźne dla ludzkiego organizmu. Na szczęście – nikt z nas wtedy nie zachorował.

W obozie chorowali za to często na malarię. W pierwszym roku atakowały ich także pchełki dżigery, które wchodziły pod paznokcie u nóg. By zapobiec ropieniu i gorączce – trzeba je było jak najszybciej wyciągnąć igłą.

Kłamstwo

– „Nie jedź do Polski, bo tam nadal trwa okupacja sowiecka” – takie słowa w 1945 r. usłyszała pani Danuta od polskiego przedstawiciela. Nie uwierzyła. Zresztą – za wszelką cenę chciała powrócić do siostry. Gdy po miesiącach podróży na peronie w Kamieńcu Ząbkowickim zobaczyła żołnierza w radzieckim mundurze, zamarła.

– Półtora roku później, podczas rekrutacji do gimnazjum, kazano mi zmienić życiorys, w którym napisałam, że zostałam wywieziona na Syberię. „Związek Radziecki nikogo nie wywoził. Dawano wam zatrudnienie, byście mogli lepiej żyć” – usłyszałam. Podobne słowa padły podczas egzaminu pani Marii na studia historyczne.

– W szkole średniej natomiast, przed małą maturą chciano mnie skreślić z listy uczniów za chodzenie do kościoła – dodaje pani Danuta. – Uratowała mnie jedna z nauczycielek.

Moja rozmówczyni podkreśla, że presja polityczna była ogromna. Ludzie bali się po raz drugi znaleźć na Syberii, dlatego milczeli o swojej przeszłości. Ona milczała do 1989 r. do pierwszego zjazdu Afrykańczyków

– Obok mnie na studiach siedział kolega, który też był Sybirakiem – wspomina pani Kość. – Dowiedziałam się o tym dopiero po 1989 r., gdy spotkaliśmy się na zjeździe uczelnianym.

Dobry start

– Czym jest dla mnie Afryka? – pani Maria zamyśla się. – Krajem szczęśliwej młodości. I spełnieniem marzeń. To ja i brat po przeczytaniu *W pustyni i w puszczy* namawialiśmy mamę, by wybrać wyjazd właśnie do Afryki.

Danuta Kość podkreśla, że to Afryka dała jej w życiu lepszy start. Zwłaszcza że nie miała już rodziców. To tu, po latach przerwy, mogła kontynuować naukę, zdobywać umiejętności podczas spotkań harcerskich, uczyć się eleganckiego zachowania.

Wśród Afrykańczyków, którzy wrócili do Polski przeprowadzono ankietę. 70 proc. z nich miało studia wyższe. Danuta Kość po przyjeździe do Polski skończyła studia ekonomiczne, Maria Dutkiewicz – historię.

– „Nie to jest ważne, co posiadasz, ale co masz w głowie – mawiała moja mama” – pani Maria zamyśla się. – W Afryce zostaliśmy zachęcani do nauki. Chociaż straciliśmy wszystko: zyskaliśmy największe bogactwo: wiedzę i umiejętności.

W 2011 roku, od 8 do 11 września, odbył się we Wrocławiu kolejny, trzynasty już zjazd Sybiraków-Afrykańczyków. Uczestniczyło w nim 118 osób w tym 36 przybyłych z zagranicy – Kanada, Francja, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania oraz z Polski. Dla niektórych z nich było to pierwsze spotkanie po wielu latach gdy opuścili Syberię a potem Afrykę i tułaczym szlakiem rozjechali się po świecie.